



ECHO

I

Rok później

MARKUS LUCJANUS Walerian wędrował gmatwaniną ulic Wiecznego Miasta z nadzieją, że prędzej czy później znajdzie w swym sercu sanktuarium pokoju. Nic z tego. Rzym działał na niego przygnębiająco. Zdążył już zapomnieć o smrodzie bijącym od brudnego Tybru, o natarczywym, różnorodnym tłumie. A może nigdy nie dostrzegał ani jednego, ani drugiego, gdyż zbyt pochłaniało go własne życie i wszystko, co robił. W ciągu kilku ostatnich tygodni, od dnia powrotu do miasta, w którym się urodził, całe godziny spędzał, błądząc po ulicach, odwiedzając miejsca, gdzie niegdyś tak chętnie przebywał. Ale teraz śmiech przyjaciół wydawał mu się pusty, a szaleńcze uczty i pijatyki stały się dla niego czymś dającym tylko zmęczenie, zamiast przyjemności.

Ponieważ czuł przygnębienie i potrzebował rozrywki, zgodził się pójść z Antygonusem do cyrku. Przyjaciel był teraz wpływowym senatorem i zasiadał na honorowym miejscu na podium. Wehdoząc do amfiteatru i szukając swego miejsca, Markus starał się zapanować nad uczuciami. Musiał jednak przyznać sam sobie, że kiedy rozległy się trąby, poczuł się nieswojo. Zaczęła się parada i wtedy coś ścisnęło mu pierś, a trzewia zawęzły się w twardy supeł.

Nie był w cyrku od czasów efeskich. Zastanawiał się, czy będzie mógł przyglądać się igrzyskom. Rzuciło się w oczy, że

dla Antygonusa igrzyska stały się jeszcze większą obsesją niż poprzednio; grał wysoko, stawiając na gladiatora z Galii.

Kiedy siedzieli już pod baldachimem, dołączyło do nich kilka kobiet. Były piękne i zmysłowe i jak tylko się tu znalazły, dały do zrozumienia, że są zainteresowane w tym samym stopniu Markusem, co igrzyskami. Markus przyjrzał się im bez emocji, a zaciekawienie zgasło równie szybko jak się pojawiło. Te kobiety były płytką, brudną wodą w porównaniu z czystym, uderzającym do głowy winem – Hadassą. Nie zajmowała go ich pusta, czcza rozmowa. Nawet Antygonus, który zawsze go bawił, drażnił go teraz swoimi nazbyt swobodnymi żartami. Markus dziwił się sam sobie, jak mogły sprawiać mu przyjemność takie sprośne historyjki, i czuł tylko politowanie, słuchając Antygonusa, który wyliczał swoje finansowe klęski.

– Jeszcze, jeszcze! – roześmiała się któraś z kobiet, najwyraźniej zachwycona ordynarnym żartem opowiedzianym właśnie przez Antygonusa.

– Będą cię piekły uszy – ostrzegł Antygonus, patrząc na nią błyszczącym wzrokiem.

– Jeszcze! – podjęło prośbę całe towarzystwo.

Całe poza Markusem. Siedział w milczeniu, przepęfniony obrzydzeniem. „Stroją się jak pawie i śmieją chrapliwie jak wrony” – pomyślał, przyglądając się swoim sąsiadom.

Jedna z kobiet podeszła i spoczęła na łożu obok niego. Kusząco wparła się w niego swym biodrem.

– Igrzyska zawsze mnie podniecają – oznajmiła głębokim, miękkim głosem, wpatrując się w Markusa ciemnymi oczami.

Markus nie odpowiedział. Czuł tylko niesmak. Zaczęła opowiadać o jednym z wielu swoich kochanków, szukając wzrokiem oznak zainteresowania na twarzy młodego mężczyzny. Osiągnęła jednak tylko to, że jego odraza jeszcze bardziej się wzmogła. Patrzył na nią, nie próbując nawet ukryć swoich uczuć, ale ona na to nie zważała. Nadal uwodziła go z subtelnością tygrysa, który uważa się za domowego kota.

Przez cały ten czas trwały krwawe zmagania. Antygonus i kobiety śmiali się, żartowali i obrzucali przekleństwami ofiary areny. Markus z rozdrażnieniem patrzył na swoje towarzy-

stwo... na to, jak ci ludzie rozkoszują się widokiem cierpienia i śmierci.

U niego budziło to tylko mdłości, odwrócił się więc, by utopić swoje uczucia w winie. Wychylał kielich za kielichem, rozpaczliwie starając się zagłuszyć w sobie krzyki dochodzące z areny. Nigdy jednak otumaniający napój nie usunie z jego pamięci obrazu... obrazu innego cyrku i innej ofiary. Miał nadzieję, że wino otępi go, ale po jego wypiciu świadomość jeszcze bardziej się wyostrzała.

Tłum wokół niego szalał z podniecenia. Antygonus przyciągnął do siebie jakąś kobietę i spleł się w uścisku. Wyobrażnia podsunęła Markusowi obraz... obraz jego siostry, Julii. Przypomniał sobie, jak po raz pierwszy zabrał ją do cyrku i jak śmiał się, widząc błysk podniecenia w jej czarnych oczach.

„Obiecuje, że nie przyniosę ci wstydu, Markusie. Nawet nie drgnę, choćby było nie wiem ile krwi.” To prawda.

Nawet wtedy nie drgnęła.

Ani później.

Nie mogąc dłużej znieść tego, co się wokół niego działo, Markus wstał. Kiedy tylko znalazł się poza zasięgiem wzroku Antygonusa i całego towarzystwa, zaczął biec – jak wtedy, w Efezie. Chciał znaleźć się możliwie najdalej od zgiełku, od woni ludzkiej krwi. Przystanął, żeby nabrać tchu, oparł się plecami o kamienny mur i wymiotował.

Jeszcze wiele godzin po zakończeniu igrzysk dźwięczały mu w uszach wrzaski tłumu domagającego się jeszcze i jeszcze krwi. Te wrzaski rozlegały się echem w jego umyśle, dręczyły go.

Tylko tego zaznał od dnia śmierci Hadassy. Udręki. I strasznej, mrocznej pustki.

– Unikasz nas? – spytał kilka dni później Antygonus, kiedy przyszedł z wizytą do Markusa. – Nie było cię wczoraj u Krasusa. Wszyscy oczekiwali, że się zjawisz.

– Miałem pilną pracę. – Markus myślał o tym, żeby wrócić na stałe do Rzymu, z płonną nadzieją, że znajdzie tu pokój, którego tak bardzo pragnął. Wiedział już, jak dalece się ludzi.

Spojrzał na Antygonusa i potrząsnął głową. – Spędzę w Rzymie jeszcze tylko kilka miesięcy.

– Myślałem, żeś wrócił na zawsze – powiedział zaskoczony Antygonus.

– Zmieniłem zamiary – odparł krótko Markus.

– Ale dlaczego?

– Nie chcę o tym mówić.

Oczy Antygonusa pociemniały. Głosem przepelnionym ironią oznajmił:

– No cóż, mam nadzieję, że znajdziesz przynajmniej czas, żeby przyjść na ucztę, którą chciałbym wydać na twoją cześć. I czemu właściwie masz taką przygnębiającą minę? Na bogów, Markusie, jakże się zmieniłeś od wyjazdu do Efezu! Co cię tam spotkało?

– Jestem bardzo zajęty, Antygonusie.

– Musisz wyrwać się z tych posępnych nastrojów. – Markus wiedział, że ten troskliwy ton oznacza, iż Antygonus poprosi zaraz o pieniądze. – Pomyślałem o rozrywkach, które niechybnie rozproszą wszelkie czarne myśli, jakimi się dręczysz.

– Dobrze, już dobrze! Przyjdę na tę twoją przeklętą ucztę – oświadczył Markus, myśląc tylko o tym, żeby Antygonus jak najszybciej wyszedł z jego domu. Dlaczego nikt nie rozumie, że pragnie jedynie tego, by zostawiono go w spokoju? – Ale dzisiaj nie mam czasu na czcze pogawędki.

– Wytwornie to ująłeś – rzucił drwiąco Antygonus i wstał, żeby wyjść. Owinął się togą i ruszył w stronę drzwi, ale w pewnym momencie przystanął i raz jeszcze obrzucił przyjaciela spojrzeniem pełnym troski. – Mam jednak nadzieję, że do jutrzejszego wieczoru nastrój ci się poprawi.

Nie poprawił się.

Antygonus nie powiedział Markusowi, że wśród gości będzie Arria. I Markus dostrzegł ją zaraz po przyjściu. Spojrzał z wyrzutem na Antygonusa, ale senator uśmiechnął się tylko z zadowoleniem i pochylił w jego stronę z szelmowskim wyrazem twarzy.

– Przez prawie dwa lata była twoją kochanką, Markusie – roześmiał się z cicha. – To znacznie dłużej niż udało się komukol-

wiek po tobie. – Widząc minę Markusa, uniósł pytająco brwi. – Nie wyglądasz na zachwyconego. Mówiłeś, że rozstałeś się z nią po przyjacielsku.

Arria była nadal piękna, nadal spragniona uwielbienia ze strony wszystkich mężczyzn dokoła, nadal rozwiązała i szukająca nowych uciech. Jednak Markus dostrzegł pewną subtelną zmianę. Miękkie rysy młodości ustąpiły miejsca rysom ostrzejszym, jakie pojawiają się u ludzi długo prowadzących życie światowe. W jej śmiechu nie było już dawnej bujności i rozkoszy; przewijała się w nim jakaś zgrzytliwa nuta – cierpka i szorstka. Otoczyło ją kilku mężczyzn, a ona droczyła się z każdym po kolei, żartując z nich i rzucając szeptem dwuznaczne uwagi. Rozejrzała się potem po sali i jej pytające spojrzenie spoczęło na Markusie. Wiedział, że zastanawia się, dlaczego nie przyciągnął go uśmiech, jakim obdarzyła go, kiedy tu wszedł. On jednak wiedział dobrze, czym jest ten uśmiech: przynętą dla zgłodniałej ryby.

Na nieszczęście dla Arrii Markus nie był zgłodniałą rybą. Już nie. Antygonus nachylił się bliżej.

– Spójrz tylko, Markusie, jak na ciebie patrzy. Wystarczy, byś kiwnął palcem, a znowu będzie twoja. Ten, który wlepią w nią psie spojrzenie, to jej ostatnia zdobycz, Metrodorus Krateuas Merula. Jeśli brakuje mu dowcipu, znakomicie nadrabia to sakiewką. Jest prawie tak bogaty, jak ty, ale i naszej małej Arrii nie brakuje teraz pieniędzy. Jej książka zrobiła prawdziwą furorę.

– Książka? – spytał Markus, uśmiechając się ironicznie. – Nie przyszło mi do głowy, że Arria umie napisać swoje imię, a co dopiero zebrać dość słów, by złożyć z nich zdanie.

– Widzę, że nie masz pojęcia, o czym pisała, bo w przeciwnym razie nie brałbyś tego tak lekko. To wcale nie jest do śmiechu. Mała Arria ujawniła tajemne talenty, o których nic nie wiedzieliśmy. Stała się kobietą pióra czy, mówiąc dokładniej, autorką erotyków. Ładny zbiorek opowieści pod hasłem „wszystko robiłam, wszystko powiem”. Na bogów, narobiła zamieszania wśród najwyższej postawionych osób. Jeden z senatorów stracił przez nią żonę. Ale nie stratą niewiasty przejął

się najbardziej, lecz utratą poparcia jej rodziny. Krążą nawet pogłoski, że będzie musiał popełnić samobójstwo. Nigdy nie można było powiedzieć, że Arria jest osobą dyskretną. Ale teraz myślę, że wywoływanie skandali stało się jej nałogiem. Pisarze dniem i nocą przygotowują kopie jej książeczki. A cena egzemplarza jest zawrotna.

– Nie wątpię, że bez wahania ją zapłaciłeś – rzucił oschle Markus.

– Ależ oczywiście – roześmiał się Antygonus. – Chciałem sprawdzić, czy wspomniała o mnie. A i owszem. W rozdziale jedenastym. Ku memu rozczarowaniu jest to dość pobieżna wzmianka. – Spojrzał na Markusa i uśmiechnął się z rozbawieniem. – Natomiast o tobie napisała szczegółowo... i rozwlekle. Nic dziwnego, że Sarapais była tak spragniona ciebie przed kilkoma dniami w cyrku. Chciała przekonać się, czy jesteś naprawdę taki, jak to opisała Arria – uśmiechnął się znowu. – Powinieneś kupić egzemplarz i sam to przeczytać. Może ci to wrócić wspomnienie dawnych chwil.

– Przy całej swej zachwycającej urodzie Arria jest głupia i lepiej o niej zapomnieć.

– To dość okrutna ocena kobiety, którą kiedyś kochałeś – zauważył Antygonus, mierząc go wzrokiem.

– Nigdy nie kochałem Arrii.

Markus skupił uwagę na tancerkach, które tuż przed nim wykonywały faliste ruchy. Na kostkach ich nóg i nadgarstkach dźwięczały dzwoneczki i ten dźwięk drażnił mu nerwy. Śmiałość zmysłowego tańca i ciała okryte przezroczystymi szatami nie rozbudziły mu zmysłów, a nawet czuł się jakoś nieswojo. Chciałby, żeby taniec się skończył i dziewczęta zniknęły.

Antygonus chwycił jedną z nich i przyciągnął ją na swoją pierś. Chociaż wrywała się, wycisnął na jej ustach namiętny pocałunek. Kiedy puścił ją, roześmiał się głośno.

– Wybierz sobie którąś – rzucił w stronę Markusa.

Niewolnica krzyknęła i Markus wewnętrznie się skurczył. Już widział ten wyraz dziewczęcej twarzy – w oczach Hadassy, kiedy stracił kontrolę nad swą namiętnością.

– Daj jej pokój, Antygonusie.

Inni śmiali się i zachęcali go okrzykami. Pijany Antygonus dał się sprowokować i stał się jeszcze bardziej natarczywy. Dziewczyna piszczała.

Markus zerwał się na równe nogi.

– Puść ją!

W sali zapanowała cisza i wszystkie spojrzenia spoczęły na Markusie. Roześmiany Antygonus podniósł głowę i obrzucił go lekko zdziwionym spojrzeniem. Śmiech zamarł mu na ustach. Obrócił się na bok, nagle zaniepokojony, i puścił niewolnicę.

Ta zaś, łkając histerycznie, wyrwała się i uciekła.

Antygonus przyjrzał się kpiąco Markusowi.

– Wybacz, Markusie. Skoro tak ci na niej zależy, czemu od razu nie powiedziałeś?

Markus poczuł na sobie spojrzenie rozpalonych zazdrością oczu Arrii. Przemknęła mu przez głowę myśl o karze, jaką wymierzy Arria niewolnicy, która w niczym tu nie zawiniła.

– Nie chcę tej dziewczyny – oznajmił zwięźle – ani żadnej innej z tych, które są tutaj.

Podniosła się fala szeptów. Kilka kobiet spojrzało z głupim uśmiechem na Arrię. Twarz Antygonusa pociemniała.

– Czemu więc wtrącasz się do moich przyjemności?

– Gotów byłeś zgwałcić tę dziewczynę.

Antygonus zdobył się na oschły śmiech.

– Zgwałcić? Jeszcze chwila, a zaczęłaby się radować.

– Wątpię.

Dobry humor Antygonusa natychmiast gdzieś wyparował. Senator czuł się znieważony i jego oczy ciskały błyskawice.

– Odkąd to ma dla ciebie jakieś znaczenie to, co czuje niewolnica? Raz czy dwa widziałem, jak sam się w ten sposób zabawiałeś.

– Nie musisz mi tego przypominać – odparł posępnym głosem Markus, wypijając resztkę wina ze swojego kielicha. – Przydałby mi się chyba łyk świeżego powietrza.

Wyszedł do ogrodu, ale nie poczuł ulgi, gdyż zaraz zjawiała się Arria, a za nią nadszedł nieodstępujący jej Merula. Markus musiał znieść ich obecność, chociaż miał ochotę zgrzytać zębami. Arria mówiła o ich przygodzie miłosnej tak, jakby skoń-

czyła się wczoraj, nie zaś cztery lata temu. Merula przyglądał się Markusowi, któremu zrobiło się żal tamtego. Arrii zawsze sprawiało przyjemność dręczenie swoich kochanków.

– Czy czytałeś, Markusie, moją książkę? – spytała głosem słodkim jak miód.

– Nie.

– Jest całkiem niezła. Spodoba ci się.

– Straciłem zainteresowanie tandetą – rzekł i zmierzył ją spojrzeniem.

W jej oczach pojawiły się błyski.

– Skłamałam, pisząc o tobie, Markusie – powiedziała z twarzą wykrzywioną gniewem. – Byłeś najgorszym kochankiem, jakiego miałam!

Markus odwzajemnił się lodowatym uśmiechem.

– To dlatego, że kiedy odchodziłem od ciebie, w moich żyłach nadal płynęła krew.

Odwrócił się do niej plecami i odszedł.

Nie zważając na obelgi, którymi go obrzucała, opuścił ogród. Wrócił na salę i szukał rozrywki w rozmowie ze starymi znajomymi i przyjaciółmi. Ale ich śmiech drażnił go; potrafili się bawić tylko czymś kosztem. W zabawnych spostrzeżeniach dostrzegał małostkowość, w opowieściach o tragediach – przyjemność.

Oddalił się od grupki, spoczął na łożu i popijając wino, obserwował posepnie gości Antygonusa. Widział teraz, jaką grę między sobą prowadzą. Zakładali maskę ludzi cywilizowanych, ale ani na chwilę nie przestawali pluć trucizną. I nagle coś go uderzyło. Tego rodzaju zebrania i uczyły stanowiły nigdy ważną część jego własnego życia. Sprawiały mu przyjemność!

A teraz dziwił się, po co tu przyszedł... po co w ogóle wrócił do Rzymu.

Podszedł do niego Antygonus z bogato ubraną dziewczyną o bladej cerze. Obejmował niedbale jej ramiona, a ona uśmiechała się zmysłowo. Miała kształty Afrodyty i Markus poczuł przez chwilę, że mroczna intensywność jej spojrzenia budzi w jego ciele odzew. Od dawna nie miał żadnej kobiety.

Antygonus zauważył, że Markus docenił urodę dziewczyny, i uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Spodobała ci się. Wiedziałem. Jest szalenie kobieca. – Puścił dziewczynę i pchnął ją leciutko w stronę Markusa, choć wcale nie było to potrzebne, gdyż i tak oparła się już o pierś Markusa i przyglądała mu się, rozchyliwszy wargi. Antygonus uśmiechnął się znowu. – Nazywa się Dydyma.

Markus ujął Dydymę za ramiona i odsunął od siebie, obdarzając Antygonusa krzywym uśmiechem. Kobieta patrzyła pytająco to na Markusa, to na swojego pana. Antygonus wzruszył ramionami.

– Wygląda na to, że Markus wcale cię nie chce, Dydymo.

– Doceniam twój gest, Antygonusie... – zaczął Markus, odstawiając z trzaskiem kielich.

– Ale... – ciągnął tamten posępnie, potrząsając głową. – Martwisz mnie, Markusie. Nie interesujesz się kobietami. Nie interesujesz się cyrkiem. Co przytrafiło ci się w Efezie?

– Ty tego nie pojmiesz.

– Może jednak spróbujesz mi wyjaśnić?

– Nie powierzę sekretów mojego życia człowiekowi pełniącemu funkcje publiczne – odparł z ironią w głosie Markus.

– Każde słowo z twoich ust ocieka jadem – rzekł cicho Antygonus i jego oczy zwęziły się. – Czym zasłużyłem sobie na twoje potępienie?

– Nie ma to nic wspólnego z tobą, Antygonusie. Chodzi o wszystko dokoła.

– O jakie wszystko? – spytał Antygonus wyraźnie zbity z tropu.

– O życie! O całe to przekłete życie!

Zmysłowe rozkosze, które niegdyś wydawały się Markusowi tak smakowite, teraz pozostawiły mu w ustach już tylko gorzki osad. Kiedy umarła Hadassa, wraz z nią umarło coś w jego duszy. Jakże wyjaśnić gwałtowne, głębokie zmiany, które się w nim dokonały, Antygonusowi, komuś, kto nadal pobłażał cielesnym namiętnościom, dla kogo nadal były one wartością? Jakże wyjaśnić, że wszystko straciło dla niego znaczenie od chwili śmierci zwykłej niewolnicy na efeskiej arenie?

– Wybacz mi, Antygonusie – powiedział bezbarwnym głosem, wstając, by wyjść. – Jestem ostatnio marnym towarzyszem zabaw.

Otrzymał kilka następnych zaproszeń na najbliższy miesiąc. Nie skorzystał jednak z żadnego, gdyż wolał zanurzyć się w pracy. Ale prowadzenie interesów też nie przynosiło ukojenia. Pracował jak szalony, a mimo to czuł ciężar w sercu. Wreszcie zrozumiał, że musi rozstać się z przeszłością, z Rzymem, ze wszystkim.

Sprzedał kamieniołom i pozostałe umowy budowlane – w obu przypadkach ze znacznym zyskiem, z którego jednak nie był dumny ani zadowolony. Spotkał się z zarządcami mieszczących się nad Tybrem składów i przejrzał rachunki. Wieloletni wspólnik Waleriana, Sekstus, okazał się człowiekiem uczciwym. Markus zaproponował mu objęcie nadzoru nad całym rzymskim majątkiem Walerianów za szczodry odsetek od nie-małych zysków.

Sekstus był oszołomiony.

– Nigdy dotąd nie miałeś, panie, tak szerokiego gestu. – Ton jego głosu zdradzał jakieś subtelne wyzwanie i ukrytą nieufność.

– Możesz gospodarować pieniędzmi jak ci się podoba. Nie wymagam żadnego zdawania rachunków.

– Nie miałem na myśli pieniędzy – odparł bez ogródek Sekstus. – Chodzi mi właśnie o zdawanie rachunków. Jeśli dobrze zrozumiałem, chcesz powierzyć mi prowadzenie swoich rzymskich interesów.

– Tak jest.

– Czyżbyś zapomniał, że byłem kiedyś niewolnikiem twojego ojca?

– Nie zapomniałem.

Sekstus przyglądał mu się bacznie. Znał Decymusa bardzo dobrze i od dawna wiedział, że Markus przysparzał mu samych zmartwień. Ambicje młodzieńca były jak gorączka wypalająca do cna sumienie. Jaką grę prowadzi teraz Markus?

– Czyż nie stawiałeś sobie za cel objęcie zarządu nie tylko nad swoim majątkiem, ale i nad ojcowskim?

– Szczerze powiedziane. – Usta Markusa wykrzywiły się w chłodnym uśmiechu.

– Czyż nie tak było? Zaprzecz, panie, abym mógł ci pochlebić.

Markus zacisnął wargi, ale pohamował wybuch gniewu. Starzał się nie zapomnieć, że ten człowiek był przyjacielem jego ojca.

– W Efezie zawarliśmy z ojcem pokój.

Odpowiedzią było milczenie, świadczące, że Sekstus mu nie dowierza. Markus spojrział prosto w oczy starca i nie spuścił wzroku.

– W moich żyłach, Sekstusie, płynie krew ojca – przypomniał zimnym głosem. – Nie przedstawiłem ci tej oferty lekko-myślnie, nie ma też w niej niczego, co mogłoby ci w przyszłości zagrozić. W ostatnich tygodniach miałem dość czasu, by starannie wszystko rozważyć. Przez siedemnaście lat zajmowałeś się towarami w tych składach. Znasz z imienia wszystkich, którzy pracują przy rozładunku i składowaniu dóbr. Wiesz doskonale, któremu kupcowi można zaufać, a któremu nie. Zdawałeś sumiennie rachunek z każdej transakcji. Komuż mogę bardziej zawierzyć?

Wyciągnął rękę, w której trzymał pergamin, ale Sekstus nawet nie drgnął.

– Możesz przyjąć albo odrzucić moją propozycję – ciągnął Markus – wiedz jednak jedno: sprzedałem wszystkie pozostałe posiadłości rzymskie. Składów zaś nie sprzedałem tylko dlatego, że stanowiły tak ważną część życia mojego ojca. W tym przedsięwzięciu jest jego pot i krew. Nie mój pot, nie moja krew. Proponuję ci to stanowisko, bo jesteś nie tylko człowiekiem najodpowiedniejszym, ale także przyjacielem ojca. Jeśli odmówisz, sprzedam wszystko. Możesz być tego pewny, Sekstusie.

Sekstus roześmiał się chrapliwie.

– Nawet gdybyś chciał sprzedać, nic z tego. Rzym ledwie dyszy. Nie znam nikogo, kto mógłby w tej chwili kupić tak wielkie i świetnie prosperujące przedsiębiorstwo.

– Dobrze o tym wiem. – Spojrzenie Markusa było lodowate.
– Gotów jestem pozbyć się wszystkiego, sprzedając pojedynczo okręty i zabudowania portowe.

Sekstus uświadomił sobie, że Markus wcale nie żartuje. Był zdumiony takim sposobem myślenia. Jakże ten młodzieniec może być synem Decymusa?

– Zatrudniasz ponad pięciuset ludzi! W większości to wyzwolenicy. Zupełnie nie dbasz o nich i o dobro ich rodzin?

– Znasz ich lepiej niż ja.

– Jeśli sprzedasz teraz, uzyskasz ledwie część rzeczywistej wartości przedsiębiorstwa – powiedział Sekstus, który wiedział doskonale, jak bardzo Markus kocha pieniądze. – Wątpię, byś się na to zdecydował.

– Sam zobaczysz. – Markus rzucił pergamin na oddzielający ich stół.

Sekstus przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, zbity z tropu twardym wyrazem twarzy młodzieńca, stanowczym zarysem szczęki. Markus nie zwodzi.

– Dlaczego?

– Bo nie chcę, by ten kamień na szyi trzymał mnie w Rzymie.

– I gotów jesteś posunąć się aż tak daleko? Skoro naprawdę pogodziłeś się z ojcem, dlaczego chcesz zniszczyć to, co on budował przez całe życie?

– Wcale tego nie chcę – odparł po prostu Markus. – Ale widzisz, Sekstusie, pod koniec życia ojciec dostrzegł, że to wszystko jest czcze, a ja doszedłem do tego samego wniosku.

– Wskazał pergamin. – Jaka będzie twoja odpowiedź?

– Muszę mieć trochę czasu, by to rozważyć.

– Masz tyle czasu, ile potrzebuję, by stąd wyjść.

Słyszając te aroganckie słowa, Sekstus zeszytniał. Po chwili jednak odprężył się. Wykrzywił usta w nieznacznym uśmiechu. Odetchnął głęboko, potrząsnął głową i zachichotał cicho.

– Jesteś, Markusie, bardzo podobny do ojca. Nawet kiedy obdarzył mnie wolnością, wiedział, jak przeprowadzić swą wolę.

– Nie we wszystkim jestem jak ojciec – rzucił Markus, nie wyjaśniając bliżej, co ma na myśli.

Sekstus wyczuł, że Markus cierpi. Może rzeczywiście pogodził się z ojcem i teraz żałuje tych lat, kiedy się przeciwko niemu buntował. Wziął zwinięty pergamin i uderzył nim o dłoń. Wspominając ojca, przyglądał się synowi.

– Przyjmuję propozycję. Pod jednym warunkiem.

– Mów.

– Będę rozliczał się z tobą tak samo jak dawniej z ojcem.

Rzucił pergamin na rozżarzone węgle w koszu i wyciągnął dłoń. Markus poczuł, że coś ściska mu gardło. Uściśnął dłoń Sekstusa.

Następnego dnia o świcie wsiadł na okręt płynący do Efezu.

Przez długie tygodnie rejsu całe godziny spędzał, stojąc na dziobie okrętu. Tutaj czuł na twarzy słony powiew wiatru. Tutaj mógł wrócić myślami do Hadassy. Przypomnił sobie, że stał kiedyś przy niej na dziobie okrętu, patrząc, jak wiatr zwiewa jej na twarz miękkie kosmyki czarnych włosów, przyglądając się tej twarzy, kiedy z takim żarem mówiła o swoim niewidzialnym Bogu: „Bóg przemawia... spokojny, cichy głos w podmuchu wiatru”.

Wydało mu się, że takim właśnie głosem, spokojnym i cichym, przemawia w tej chwili do niego Hadassa, że szepcze mu coś w podmuchu wiatru... przyzywając go.

Ku czemu? Ku rozpaczcy? Ku śmierci?

Czuł się rozdarty między pragnieniem, by o niej zapomnieć, a lękiem, że mogłoby do tego dojść. Było to tak, jakby raz otworzywszy serce na jej głos, nie mógł go już zamknąć.

Jej głos stał się uporczywą obecnością, rozbrzmiewającą echem pośród ciemności, w jakiej był pogrążony.

II

KIEDY MARKUS zszedł w Efezie na ląd, nie miał zgoła poczucia, że wraca do domu, ani nie cieszył się, że ma już rejs za sobą. Powierzył swój bagaż służbie, a sam udał się prosto do położonej na zboczu wzgórza, blisko centrum miasta, willi swojej matki.

Powitał go zaskoczony sługa, który oznajmił, że jego pani wyszła, ale przyjdzie najdalej za godzinę. Zmęczony i przygnębiony Markus poszedł na wewnętrzny dziedziniec, żeby tam poczekać na matkę.

Światło słoneczne spływało do atrium przez otwarty dach, rzucając migotliwe błyski na pomarszczoną powierzchnię wody w ozdobionej ornamentami sadzawce. Woda skrzyła się i tańczyła, a przez korytarze na dole niósł się kojący szmer fontanny. Markusowi jednak nie przynosił ukojenia, kiedy usiadł w małej cienistej niszy.

Odchylił głowę do tyłu i oparł ją o ścianę, pragnąc, by melodyjny szum obmył jego zbolące serce, by przyniósł mu chwilę wytchnienia od udręki. Jednak wspomnienia nękały go nadal, ogarniało go coraz większe przygnębienie, czuł duszący go ciężar.

Minęło już czternaście miesięcy od śmierci Hadassy, lecz cała trwoga, jaką wtedy przeżył, przenikała go, jakby wszystko zdarzyło się wczoraj. Hadassa często siadała na tej samej ławeczce, modląc się do swego niewidzialnego Boga i odnajdując pokój, który dla Markusa był ciągle nieosiągalny. Prawie słyszał jej głos – spokojny, pełen słodczy, oczyszczający jak

woda w fontannie. Modliła się za jego rodziców. Modliła się za niego. Modliła się nawet za Julię!

Zamknął oczy. Z całej siły pragnął odmienić przeszłość. Gdybyż to wystarczyło, żeby przywrócić życie Hadassie siłą jego pragnienia. Gdybyż przez jakieś czary dało się wymazać udrękę minionych miesięcy, gdybyż znowu siedziała obok niego, żywa i zdrowa. Gdyby mógł posłużyć się jej imieniem jak zaklęciem i wskrzesić ją mocą swej miłości.

– Hadasso... – wyszeptał chrapliwie. – Hadasso.

Jednak z mgły jego wyobraźni nie powstała Hadassa, lecz tylko plugawe, gwałtowne obrazy jej umierania, a potem udręka duszy – zgroza, żal i poczucie winy, a wszystkie te uczucia zagęszczały się w jedno, w głęboki gniew, który stał się jego wiernym towarzyszem.

Cóż przyszło jej z modlitwy? – rozmyślał z goryczą, starając się wymazać z umysłu obraz jej śmierci. Tak spokojnie stała, kiedy lew się na nią rzucił. A jeśli nawet krzyczała, jej głos zagłuszyły radosne wrzaski efezjan... wśród nich jego własnej siostry.

Zanim wyjechał do Rzymu, matka powiedziała mu, że czas leczy wszystkie rany. Lecz to, co czuł, patrząc, jak umiera Hadassa, ciążyło mu z każdym dniem bardziej, stawało się coraz trudniejsze do zniesienia. Aż wreszcie ból stał się jedną ciężką bryłą, która przygniatała go do ziemi.

Markus westchnął i wstał. Nie może żyć przeszłością. Nie dzisiaj, kiedy jest tak zmęczony, tak wyczerpany długą i nudną podróżą. Wyjazd do Rzymu nie uwolnił go od apatii, a nawet sprawił, że życie wydawało mu się jeszcze gorsze niż przedtem. A teraz, po powrocie, nie czuje się bynajmniej lepiej niż przed opuszczeniem Efezu.

Stał w perystylu willi swej matki, przepelniony bolesnym, niewypowiedzianym smutkiem. W całym domu panowała cisza, chociaż służba krzątała się przy swoich obowiązkach. Czuł obecność tych ludzi, lecz im mądrość nakazywała trzymać się od niego jak najdalej. Drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły. Usłyszał ciche głosy, a potem kroki pospiesznie zbliżające się w jego stronę.

– Markus! – wykrzyknęła matka. Podbiegła i rzuciła się w jego ramiona.

– Matko – powiedział, uśmiechając się i odsuwając ją na odległość ramion, by zobaczyć, czy się zmieniła podczas jego nieobecności.

– Dobrze wyglądasz. – Pochylił się, by pocałować ją w oba policzki.

– Czemu tak szybko? – spytała. – Myślałam, że nie ujrę cię przez kilka lat.

– Załatwiłem wszystkie sprawy. Nie miałem po co tam zostawać.

– Czy zastałeś wszystko w dobrym porządku?

– Jestem bogatszy niż rok temu, jeśli to miałaś na myśli. Uśmiechał się, ale nie było w tym uśmiechu ani śladu radości. Feba spojrzała mu w oczy i jej twarz złagodniała. Miękkim ruchem uniosła dłoń do jego policzka, jakby był dzieckiem, które spotkała krzywdą.

– Och, Markusie – powiedziała ze współczuciem. – Ta podróż nie pomogła ci zapomnieć.

Zrobił krok do tyłu, zadając sobie pytanie, czy każda matka potrafi zajrzeć do duszy swojego dziecka tak jak jego matka.

– Powierzyłem zarząd składami Sekstusowi – rzucił dziarskim głosem. – Nie brak mu umiejętności i jest godny zaufania.

Feba podjęła ten wątek.

– Zawsze znałeś się na ludziach. Tak samo jak ojciec – odparła spokojnie, uważnie się mu przyglądając.

– Czasem wyczucie mnie zwodziło – powiedział posępnie i zaraz postarał się odwrócić swoje myśli od siostry. – Juliusz mówił mi, że przez kilka tygodni cierpiał na gorączkę.

– Tak. Ale teraz czuję się świetnie.

Markus przyjrzał się jej baczniej.

– Powiedział też, że szybko się męczysz. Wyszczułaś od mojego wyjazdu.

Roześmiała się.

– Nie musisz się o mnie martwić. Teraz, kiedy wróciłeś, nabiorę znowu apetytu. – Ujęła jego dłoń. – Wiesz przecież, jak się zamartwiałam, kiedy ojciec wyprawiał się w taką długą po-

dróż. Coś mi się zdaje, że teraz będę się tak samo martwić o ciebie. Na morzu wszystko jest możliwe.

Usiadła na ławce. Markus nadal stał. Zauważyła, że jest niepokojny i wychudły, że na twarzy pojawiły mu się zmarszczki, a rysy się wyostrzyły.

– Jak tam w Rzymie?

– Bez większych zmian. Spotkałem się z Antygonusem i jego świtą pochlebców. Jak zwykle jęczał, że brak mu pieniędzy.

– I dałeś mu to, czego pragnął?

– Nie.

– Dlaczego?

– Ponieważ chciał trzysta tysięcy sesterców, które w całości przeznaczyłby na organizowanie igrzysk.

Odwrocił głowę. Kiedyś zgodziłby się bez najmniejszych skrupułów, a nawet sam z przyjemnością oglądałby igrzyska. Oczywiście Antygonus odwdzieczyłby się szczerze, załatwiając mu korzystne umowy na budowle publiczne i polecając go bogatym arystokratom, którzy chcieli wybudować sobie większe i lepiej wyposażone wille.

Polityk taki jak Antygonus musiał zjednywać sobie życzliwość tłumu. Najlepszym sposobem było organizowanie igrzysk. Tłuszcza nie dbała o to, jakie poglądy ma senator, pod warunkiem że zapewniał jej rozrywki i zapomnienie o prawdziwych problemach życia: nie zrównoważony bilans handlowy, zamieszki, głód, choroby, napływ niewolników z prowincji, którzy odbierali pracę ludziom wolnym.

Markus nie chciał mieć już w tym swojego udziału. Wstydził się tego, że kiedyś dawał Antygonusowi setki tysięcy sesterców. Ale wtedy myślał tylko o korzyściach, jakie może zapewnić wysoko postawiony przyjaciel. Nigdy nie zastanawiał się nad tym, co jego hojność może oznaczać, jeśli chodzi o ludzkie życie. Prawdę mówiąc, zupełnie go to nie obchodziło. Wspieranie finansowe Antygonusa było rzeczą nader opłacalną. Chciał zdobyć umowy na zabudowę spalonych najbogatszych dzielnic Rzymu, a napychanie Antygonusowi sakiewki sestercami było najkrótszą drogą do zbiccia majątku. Łapówki zapewniały mu za-

mówienia, zamówienia zaś zapewniały bogactwo. Jego boginią była Fortuna.

Teraz jak w zwierciadle widział samego siebie z dawnych czasów: był człowiekiem znudzonym i popijającym wino z przyjaciółmi, kiedy przybijano kogoś do krzyża; zjadającym podawane przez niewolnika smakołyki, kiedy dwóch mężczyzn stawiano naprzeciwko siebie i zmuszano do walki na śmierć i życie. I po co? Żeby zabawiać znudzone, wygłodniały tłum, którego on sam stanowił częścią, z tą tylko różnicą, że on płacił za igrzyska. A teraz przyszło mu zapłacić znacznie wyższą cenę, wiedział bowiem, że ma taki sam jak wszyscy udział w śmierci Hadassy.

Przypominał sobie, jaki był rozbawiony, kiedy przerażony człowiek uciekał przed sforą psów, chociaż nie było dla niego ucieczki. Dźwięczał mu w uszach tysięckrotny okrzyk szaleńczej radości, który rozległ się, gdy lwica rozszarpała ciało Hadassy. Jaką zbrodnię popełniła? Była czysta i łagodna, a to budziło wyrzuty sumienia i zazdrość u plugawej dziwki. Dziwki, która była jego siostrą...

Feba siedziała w milczeniu na ocienionej ławce i wpatrywała się w zgorzkniałą twarz syna.

– Julia pytała, kiedy wrócisz.

Na dźwięk tego imienia zaczął mu drgać mięsień w szczęce.

– Chce cię widzieć, Markusie.

Milczał.

– Potrzebuje ciebie.

– Nie dbam o to, czego potrzebuje Julia.

– A jeśli chce naprawić swój błąd?

– Naprawić? Jak? Czy może przywrócić Hadassie życie?

Czy może cofnąć to, co uczyniła? O nie, matko. Nie da się już niczego naprawić.

– Jest nadal twoją siostrą – powiedziała łagodnym głosem.

– Być może ty masz córkę, matko, lecz przysięgam ci, że ja nie mam siostry.

Widziała zaciekłość jego spojrzenia, widziała zaciśnięte zęby.

– Czy nie potrafisz zapomnieć o tym, co było?

– Nie.

– Nie potrafisz wybaczyć?
– Nigdy! Modlę się, by spadły na jej głowę wszystkie możliwe przekleństwa bogów.

W oczach jego matki zabłyśły łzy.

– Być może powinienes bardziej pamiętać o tym, jak Hadassa żyła, a mniej, jak umarła.

Te słowa przeszły jego serce i obrócił się lekko, wściekły, że musiała mu o tym przypominać.

– Pamiętam aż za dobrze – odparł ochryplym głosem.

– Może inaczej to pamiętamy – powiedziała łagodnie Feba.

Uniosła rękę, by dotknąć wisiorka, który włożyła pod *palus*. Był to symbol jej nowej wiary: pasterz niosący na ramionach zagubioną owieczkę. Markus o niczym nie wiedział. Wahala się, niepewna, czy jest to odpowiedni moment, by mu to wyjawić.

Dzięki przykładowi Hadassy Feba znalazła drogę, którą winna kroczyć przez życie. Została chrześcijanką ochrzczoneą wodą w imię Ducha Boga Żywego. Nie musiała zmagać się ze sobą jak Decymus, który dopiero w godzinie śmierci przyjął Pana. A teraz Markus, tak jak przedtem jego ojciec, chce walczyć z Duchem. Markus, który nie chciał, by ktoś rządził jego życiem, który nie uznawał nad sobą żadnej władzy.

Patrząc, jak stoi, to zaciskając, to otwierając pięści, Feba wiedziała, że nie jest to odpowiedni moment, żeby powiedzieć mu o Jezusie i swojej wierze. Markus uniósłby się gniewem. Niczego by nie zrozumiał. Złakłby się o nią, złakłby się, że straci ją tak samo jak stracił Hadassę. O, gdybyż potrafił dostrzec, że wcale jej nie stracił. Zatracił za to siebie.

– Co chciałyby Hadassa, byś uczynił?

Markus zamknął oczy.

– Gdyby postępowała inaczej, żyłaby.

– Gdyby była inna, Markusie, nigdy nie kochałbyś jej tak, jak ją kochasz, całym sercem, umysłem i duszą.

Jak kochałby Boga, gdyby dostrzegł, że ku Hadassie przyciągał go zamieszkujący ją Duch Boży. Feba widziała ból syna i cierpiała razem z nim. Wstała z ławki i podeszła do Markusa.

– Czy pomnikiem Hadassy ma być twoja nienawiść do własnej siostry? – zapytała.

– Daj temu pokój, matko – rzekł ochryple.

– Jakżebym mogła? – powiedziała ze smutkiem. – Jesteś moim synem, a Julia, bez względu na to, co zrobiła, pozostanie moją córką. Kocham was oboje. Kocham Hadassę.

– Hadassa nie żyje, matko. – Opuścił na nią wzrok. – Czy dlatego zginęła, że popełniła jakąś zbrodnię? Nie! Zamordowała ją zazdrosna dziwka.

Feba położyła mu rękę na ramieniu.

– Hadassa żyje dla mnie. I żyje dla ciebie.

– Żyje! – wykrzyknął ze smutkiem. – Jak możesz coś takiego mówić? Czy jest tu z nami?

Odsunął się od niej i usiadł na ławce, na której Hadassa siedała w cichej godzinie wieczornej lub przed świtaniem. Oparł się plecami o ścianę. Wyglądał na całkowicie wyczerpanego.

Usiadła obok i ujęła jego dłoń.

– Czy pamiętasz, co powiedziała ojcu tuż przed jego śmiercią?

– Wziął moją rękę i położył ją na ręce Hadassy. Była moja.

Ciągle miał przed oczyma wyraz jej czarnych oczu, kiedy zacisnął dłoń na jej dłoni, jakby biorąc ją w swe władanie. Czy ojciec zdawał sobie sprawę, że Hadassa jest w niebezpieczeństwie? Czy chciał mu nakazać, by ją chronił? Powinien był zabrać ją natychmiast od Julii, nie czekając na zgodę siostry. Julia była wtedy ciężarna, porzucił ją kochanek. Ułitował się nad nią, nie zdając sobie sprawy z zagrożenia, jakie wisiało nad głową Hadassy. Gdyby okazał więcej rozumu, Hadassa nadal by żyła. Byłaby jego żoną.

– Markusie, Hadassa powiedziała, że wystarczy uwierzyć i przyjąć łaskę Boga, by znaleźć się w raju u boku Pana. Powiedziała, że kto uwierzy w Jezusa, nie zginie, ale będzie miał życie wieczne.

Zacisnął palce na jej dłoni.

– Matko, to tylko słowa, które miały przynieść ukojenie umierającemu, który zobaczył, że zmarnował życie. Wszystko, co mamy, jest tu i teraz. Jedyne życie wiecznym, jakiego możemy oczekiwać, jest życie w sercu innych. Hadassa żyje i będzie żyła, póki ja nie umrę. Żyje we mnie. – W jego oczach

pojawił się wyraz jakiejś twardości. – A ponieważ ją kocham, nigdy nie zapomnę, jak umarła i kto do tego doprowadził.

– Czy nigdy nie zrozumiesz, dlaczego umarła? – spytała Feba z oczyma błyszczącymi od łez.

– Wiem dlaczego. Została zamordowana, bo obudziła zazdrość i wściekłość. Jej czystość obnażała nieczystość Julii.

Cofnął rękę. Był pełen napięcia, zmagał się z szalejącymi w nim uczuciami. Nie chciał o nic obwiniać matki. To nie jej wina, że urodziła jadowitą żmiję. Czemu jednak musi mówić to wszystko teraz, kiedy on tak krwawi?

– Czasem chciałbym zapomnieć – powiedział, kryjąc twarz w dłoniach i ściskając skronie, jakby chciał uśmierzyć ból głowy wypełnionej wspomnieniami. – Powiedziała mi kiedyś, że Bóg przemówił do niej w powiewie wiatru, ale ja nie słyszałem niczego poza słabym echem jej słów.

– Więc nasłuchuj.

– Nie mogę! Nie mogę tego znieść.

– Może tego właśnie potrzebujesz: odnaleźć jej Boga i przyjąć od Niego pokój, o którym mówiła.

Markus szarpnął głowę do góry i roześmiał się chrapliwie.

– Mam szukać jej Boga?

– Jej wiara w tego Boga była samą istotą Hadassy, Markusie. Z pewnością zdajesz sobie z tego sprawę.

Wstał i odszedł kilka kroków.

– Gdzież był ten jej wszechmogący Bóg, kiedy stanęła przed lwami? Jeżeli istnieje, jest tchórzem, który ją opuścił!

– Jeśli naprawdę w to wierzysz, musisz sam zgłębić, dlaczego tak się stało.

– Jak mam to zrobić, matko? Mam zapytać kapłanów ze świątyni, której od dawna nie ma? Tytus zburzył Jerozolimę. Judea leży w gruzach.

– Musisz zapytać o to jej Boga.

Zmarszczył brwi, spojrzał na nią przenikliwie.

– Chyba nie zaczynasz wierzyć w tego wyklętego Jezusa? Powiedziałem ci, co się z Nim stało. Był zwykłym cieślą, który zadarł z Żydami. Wydali Go na ukrzyżowanie.

– Kochałeś przecież Hadassę.

– Nadal ją kocham.

– Czyż nie jest więc warta tego, byś zadał sobie parę pytań? Co chciałaby, żebyś zrobił, Markusie? Co było dla niej ważniejsze nawet niż życie? Musisz odnaleźć jej Boga i spytać Go, dlaczego umarła. Tylko On może dać ci odpowiedź, której szukasz.

Markus wykrzywił ironicznie wargi.

– Jak się szuka oblicza niewidzialnego Boga?

– Tak jak czyniła to Hadassa. W modlitwie.

Serce przepęłnił mu żal, a potem zalała je fala gorzkości i gniewu.

– Na bogów, matko, co jej przyszło z modlitwy?

Po jej zaskoczony i zasmuconej minie poznał, że głęboko ją uraził. Opanował nerwy, zmusił się do racjonalnego myślenia.

– Wiem, matko, że chcesz mnie pocieszyć, ale nie ma dla mnie pociechy. Czyż tego nie pojmujesz? Może czas coś zmieni, sam nie wiem. Nic mi jednak po takich czy innych bogach.

– Potrzęsnał głową i w jego głosie znowu zabrzmiała gniewna nuta. – Od czasów dzieciństwa pamiętam, że składałaś w *larrarium* ofiary bóstwom domowego ogniska. Czy uchroniło to tamte twoje dzieci od śmierci z gorączki? Czy uratowało życie ojcu? Czy choć raz słyszałaś głos w powiewie wiatru? – Jego gniew zgasł nagle i pozostało mu tylko straszliwe uczucie pustki. – Nie ma żadnych bogów!

– A więc wszystko, co mówiła Hadassa, było kłamstwem.

Skrzywił się z bólu.

– Nie. Wierzyła w każde słowo, jakie wypowiedziała.

– Czyżby wierzyła w kłamstwo, Markusie? Czyżby umarła daremnie?

Zobaczyła, jak jej syn zaciska pięść i wiedziała, że zadała mu ból. Lepszy jednak ból niż wieczna śmierć.

Wstała, podeszła do niego i ruchem pełnym łagodności położyła dłoń na jego policzku.

– Markusie, jeśli naprawdę wierzysz, że Bóg Hadassy opuścił ją, spytaj Go, dlaczego uczynił to komuś takiemu jak ona.

– Jakież może mieć to teraz znaczenie?

– Ma. Większe niż myślisz. Jak inaczej możesz pogodzić się z tym, co się stało?

Poblądł, poczuł, jak chłód wpełza mu na twarz.

– To złudzenie. Nigdy nie będę mógł się pogodzić. Jeżeli kiedykolwiek zacznę szukać Boga Hadassy, matko, to nie po to, by Go chwalić, jak czyniła ona, ale by Go przekląć.

Feba nic już nie powiedziała, ale jej serce krzyczało z trwogi. „O Panie, wybacz mu. On nie wie, co mówi.”

Markus nie chciał pociechy, wierzył bowiem, że pozostało mu tylko słodkie echo głosu Hadassy w ciemności, która się wokół niego zamknęła.

III

TA – POWIEDZIAŁA Julia Walerian, wskazując brunatną kózkę w zagrodzie tuż obok świątyni. – Ta ciemnobrunatna. Czy nie ma żadnej skazy?

– Wszystkie moje kozy są bez skazy – odparł kupiec, torując sobie drogę wśród zwierząt stłoczonych w zagrodzie i chwytając kozę, którą wybrała Julia. Założył jej pętlę na szyję. – Te zwierzęta są doskonałe – dodał, podnosząc szamoczącą się kozę.

Przepychając się przez stado, podał cenę i oczy Julii zwęziły się. Przenosiła spojrzenie z chudej kózki na kupca i z powrotem.

– Ani myślę płacić tyle za taką małą kozę!

Kupiec powiódł spojrzeniem po jej wytwornym wełnianym *palusie* i zatrzymał je na sznurze pereł we włosach i naszyjniku z karbunkułów.

– Twój wygląd, pani, świadczy, że stać cię na to, jeśli jednak masz ochotę potargować się ze mną, niechaj spadnie to na twoją głowę. – Postawił kózkę i wyprostował się. – Ja nie będę tracił czasu na targi. Czy widzisz znak na uchu? To zwierzę zostało namaszczone na ofiarę przez jednego z haruspików. Jasnowidzący uczynili to dla twego dobra. Pieniądze za to zwierzę trafią do haruspika i do świątyni. Czy pojmujesz? Jeśli jednak pragniesz kupić gdzieś tańszą kozę, by poprowadzić ją przed oblicze bogów i ich uświęconych przedstawicieli, uczyn to na własną odpowiedzialność. – Przyglądał się jej drwiąco.

Słyszając te słowa, Julia zadrżała. Miała świadomość, że kupiec chce ją wykorzystać, ale nie miała wyboru. Ten okropny człowiek ma rację. Tylko szalenię próbuje oszukać bogów – czy haruspika, którego bogowie wybrali, by odczytywał święte znaki ukryte we wnętrznościach zwierzęcia ofiarnego. Z odrazą spojrzała na kózkę. Przyszła tu, aby dowiedzieć się, co jej dolega, a jeżeli oznacza to, że musi zapłacić niegodziwą cenę za zwierzę ofiarne, uczyni to.

– Wybacz – powiedziała. – Wezmę ją.

Zdjęła bransoletę i otworzyła wbudowaną w nią skrytkę. Starając się nie zwracać uwagi na zadowoloną minę kupca, odliczyła trzy sesterce. Potarł monety w palcach i wsunął je do sakiewki u pasa.

– Jest twoja – oznajmił, podając Julii koniec sznura – i niechaj przyniesie ci zdrowie.

– Weź ją – rozkazała zwięźle Julia, zwracając się do Eudemas.

Odsunęła się, żeby niewolnica mogła wywlec beczące i szarpiące się zwierzę z zagrody. Kupiec przyglądał się temu ze śmiechem.

Kiedy Julia weszła z Eudemas i kozą do świątyni, poczuła, że robi się jej słabo. Ciężka, intensywna woń kadzideł nie tłumila zapachu krwi i śmierci. Żołądek podszedł jej pod gardło. Zajęła miejsce w kolejce czekających. Zamknęła oczy i przetykała śliną napływającą jej do ust. Na czoło wystąpił jej zimny pot. Nie mogła pozbyć się myśli o poprzednim wieczorze i kłótni z Prymusem.

– Nie da się z tobą wytrzymać, Julio – oznajmił Prymus. – Psujesz nastrój każdej uczty, w której bierzesz udział.

– Jakże to miło z twojej strony, kochany mężu, że myślisz o moim zdrowiu i samopoczuciu.

Spojrzała na Kalabę, szukając u niej współczucia, ale zobaczyła tylko, że Kalaba daje znak Eudemas, by ta przysunęła bliżej półmisek z gęsimi wątróbkami. Wybrała sobie wątróbkę i uśmiechnęła się tak, że niewolnica oblała się pąsem, a potem zbladła jak chusta. Kalaba odprawiła ją gestem ręki i patrzyła, jak dziewczyna niesie półmisek Prymusowi. Dopiero w tym

momencie zauważyła, że Julia na nią patrzy. Uniosła brwi i skierowała na Julię puste i obojętne spojrzenie.

– Co się stało, moja droga?

– Nie obchodzi cię, że jestem chora?

– Ależ obchodzi – odparła Kalaba głosem, w którym brzmiała nutka zniecierpliwienia. – Mam wrażenie, że ciebie to nie obchodzi. Julio, moja kochana, rozmawialiśmy o tym tyle razy, że stało się to doprawdy nudne. Jest taka prosta odpowiedź, tyle że ty nie chcesz przyjąć jej do wiadomości. Skup się na tym, żeby wyzdrowieć. Pozwól, by uzdrowiła cię twoja wola. Wystarczy skupić na czymś umysł, by osiągnąć to wysiłkiem woli.

– Myślisz, Kalabo, że nie próbowałam?

– Nie dość wytrwale, gdyż inaczej czułabyś się już dobrze. Musisz co rano skupiać myśli na sobie i medytować tak, jak cię nauczyłam. Opróżnij umysł z wszystkiego poza świadomością, że jesteś dla siebie bogiem, a twoje ciało jest tylko świątynią, którą zamieszkujesz. Stanie się wedle twej woli, Julio. Kłopot w tym, że brak ci wiary. Musisz uwierzyć, a wtedy dokonasz wszystkiego, czego zechcesz.

Julia odwróciła wzrok od mrocznych oczu Kalaby. Każdego ranka robiła dokładnie to, co przyjaciółka nakazywała. Czasem gorączka przychodziła w samym środku medytacji i Julia zaczynała drżeć – osłabiona i znękana nudnościami.

Owładnięta poczuciem bezradności, powiedziała spokojnym głosem:

– Niektóre rzeczy są poza władaniem ludzkiej woli.

Kalaba obrzuciła ją pogardliwym spojrzeniem.

– Skoro brak ci wiary w siebie samą, w swą wewnętrzną moc, być może winnaś uczynić to, co proponuje Prymus. Idź do świątyni i złóż ofiarę. Jeśli o mnie chodzi, nie wierzę w bogów. Wszystko, co osiągnęłam, zawdzięczam własnemu wysiłkowi i umysłowi, nie zaś uciekaniu się do nadnaturalnych, niewidzialnych mocy. Jeżeli jednak sądzisz, Julio, że nie masz w sobie mocy, jakież inne postępowanie możesz wybrać, jak tylko wziąć skądś to, czego potrzebujesz?

Julię zbijało z tropu to, że po tylu miesiącach zażyłości Kalaba z taką pogardą i obojętnością odnosiła się do jej cierpień.

Patrzyła, jak przyjaciółka zjada następną wątróbkę, a potem każe Eudemas przynieść wonną wodę do obmycia rąk. Dziewczyna wykonała polecenie, wpatrując się przy tym z uniesieniem i czcią w Kalabę i oblewając się rumieńcem, kiedy długie, ozdobione pierścieniami palce pogładziły jej ramię, zanim została odprawiona. Julia po oczach Kalaby poznała, że ta, przyglądając się odchodzącej niewolnicy, snuje jakieś mroczne rozważania. Na wargach kobiety pojawił się ledwie widoczny, drapieźny uśmiech.

Julia poczuła, że robi się jej niedobrze. Wiedziała, że na jej oczach dokonuje się zdrada i że ona jest jej ofiarą, i wiedziała, że nic na to nie poradzi, że musi to przełknąć. Prymus też zauważył, co się dzieje, i świadomość, że ona wie, sprawiała mu okrutną rozkosz.

– Prokonsul często odwiedza haruspików, by zadawać pytania bogom – rzucił, przerywając ciężące już milczenie. – Będą wiedzieli, czy doszło do wybuchu choroby. A w każdym razie dowiesz się, czy twoja dolegliwość pojawiła się z rozkazu bogów.

– I co mi przyjdzie z tego, że będę wiedziała? – rzuciła ze złością Julia.

Było aż nadto oczywiste, że ani Kalaba, ani Prymus nie dbają o to, co jej jest.

– Zmęczyła mnie ta rozmowa – oznajmiła Kalaba, wzdychając ciężko i wstając.

– Dokąd idziesz? – spytała wprawiona w zakłopotanie Julia. Kalaba znowu westchnęła i obrzuciła ją pobłażliwym spojrzeniem.

– Do łaźni. Powiedziałam Safirze, że spotkam się z nią dziś wieczorem.

Wzmianka o młodej kobiecie jeszcze bardziej przygnębiła Julię. Safira była bardzo młoda, piękna i wywodziła się ze znanej rzymskiej rodziny. Już po pierwszym spotkaniu Kalaba oświadczyła, że uważa Safirę za osobę „obietniczącą”.

– Nie mam ochoty nigdzie wychodzić, Kalabo.

Kalaba znowu uniosła brwi.

– Wcale cię o to nie proszę.

Julia podniosła na nią wzrok.

– Czy nie liczysz się zupełnie z moimi uczuciami?

– Owszem, liczę się. Zdawałam sobie dobrze sprawę, że odmówisz, a poza tym nie widziałam powodu, byś mi towarzyszyła. Nigdy nie lubiłaś Safiry, prawda?

– Ale ty tak – rzuciła oskarżycielskim tonem Julia.

– To prawda – odparła z zimnym uśmiechem Kalaba i było to dla Julii jak pchnięcie nożem. – Bardzo lubię Safirę. Musisz to zrozumieć, moja droga. Jest świeża i niewinna, to cały świat możliwości.

– Ja też byłam kiedyś taka – zauważyła z goryczą Julia.

Twarz Kalaby przybrała drwiący wyraz.

– Wiedziałaś, co czynisz, Julio. Ja się nie zmieniłam.

– Jeśli ja się zmieniłam, to dlatego, że chciałam ci się przypodobać. – W oczach Julii zaśniły łzy gniewu.

Kalaba roześmiała się cicho.

– Och, Julio, kochanie. Tym światem rządzi tylko jedno prawo: „Podobaj się sama sobie”. – Zimne spojrzenie Kalaby przeszło po twarzy Julii, a potem po jej smukłym ciele. – Ale znacysz dla mnie tyle samo, co zawsze.

Julii te słowa przyniosły niewielką pociechę. Kalaba uniosła lekko jej głowę i badawczo, bez mrugnięcia oczami przyjrzała się młodej kobiecie, prowokując ją do jakiejś reakcji. Julia milczała, wiedząc, że powinna zostawić to wyzwanie bez odpowiedzi. Czasem miała uczucie, że Kalaba tylko czeka, by zrobiła albo powiedziała coś, co posłużyłoby za wymówkę, by mogła całkowicie Julię opuścić.

– Jesteś naprawdę bardzo błada, kochanie – rzekła Kalaba głosem pełnym potępienia i jednocześnie beztróskim. – Odpocznij przez wieczór. Może inaczej spojrzysz na świat jutro rano.

Wyszła z gracją, przystając po drodze, by pogłaskać końcami palców policzek Eudemas i powiedzieć coś przeznaczonego tylko dla uszu niewolnicy.

Julia zacisnęła dłonie, wiedząc dobrze, że nie zdoła zatrzymać Kalaby. Myślała, że może jej zaufać całym sercem. A teraz czuła, jak wzbiera w niej wściekłość.

Przez całe życie cierpiała z powodu mężczyzn. Najpierw układał i nadzorował jej życie ojciec, narzucając jej na każdym kroku swoją wolę, póki nie poślubiła Klaudiusza, rzymskiego uczonego, który miał posiadłość wiejską w Kapui. Klaudiusz nudził ją do szaleństwa swoimi uczonymi dociekaniem na temat religii w cesarstwie, ale na szczęście jego śmierć w wypadku uwolniła ją od mozołów takiego życia.

Była nieprzytomnie zakochana w swoim drugim mężu, Kajuszu. Związek ten dał jej wprawdzie wszystko, czego oczekiwała: rozkosz, wolność, uwielbienie, ale potem okazało się, że Kajusz był bez porównania gorszy od Klaudiusza. Trwonił jej majątek, wydając tysiące sesterców na wyścigi i na inne kobiety, a kiedy przegrywał albo wpadał w zły humor, albo na niej wyładowywał swój gniew. Julia znosiła to, póki mogła. W końcu jednak postarała się za namową Kalaby o to, żeby Kajusz nigdy już nie mógł jej skrzywdzić. Z drzeniem przypominała sobie, jak umierał powoli wskutek spożywania trucizny, którą dodawała do jadła i napojów.

Potem był Atretes... jej wielka namiętność! Oddała mu serce, wyrzekła się wszelkiej obrony, żądając tylko, by nie zabrał jej wolności. Odszedł od niej, bo nie chciała małżeństwa z nim i poślubiła Prymusa, żeby zapewnić sobie niezależność majątkową. Atretes nie chciał zrozumieć, dlaczego było to konieczne. Wspomnienie ich ostatniej, gwałtownej rozmowy przeszło ją na chwilę bólem i potrząsnęła gniewnie głową. Atretes był przecież zwykłym jeńcem pojmanym podczas germańskiego buntu, gladiatorem. Jakież miał prawo, by narzucać jej swoją wolę? Czy naprawdę myślał, że ona go poślubi i zrzeknie się wszystkiego na rzecz ciemnego barbarzyńcy? Małżeństwo przez *usus* z Prymusem było dla niej najmądrzejszym wyjściem – zapewniło jej wolność należną kobiecie zamężnej, nie niosąc z sobą żadnych zagrożeń, gdyż Prymus nie mógł rościć sobie praw do jej pieniędzy i posiadłości – ale Atretes był człowiekiem niecywilizowanym, nie mógł więc tego pojąć.

Nawet Markus, ukochany, uwielbiany brat zdradził ją na koniec, przeklinając ją podczas igrzysk za to, że ocaliła go przed wystawieniem się na pośmiewisko z powodu niewolnicy. Jego

odejście było dla niej najcięższym ciosem. Nadal dźwięczały jej w uszach jego słowa pełne odrazy i gniewu. Miała przed oczyma jego nieprzytomną z gniewu twarz, kiedy odwrócił się od niej ku Kalabie.

– Chcesz ją, Kalabo?

– Zawsze jej chciałam.

– Jest twoja!

Od tego czasu nie chciał z nią rozmawiać, nie chciał jej widzieć.

Wszyscy – ojciec, kolejni mężowie, brat – zawiedli ją. Powierzyła więc siebie Kalabie, zaufała jej bez reszty. Czyż przecież Kalaba nie przysięgła jej miłości po grób? Czy to nie ona otworzyła jej oczy na lekkomyślność i niewierność mężczyzn? Czyż nie Kalaba wychowywała ją, rozpieszczała i wskazywała jej drogę?

A teraz Julia widziała, że Kalabie tak samo nie może zaufać, jak innym, i ta zdrada była najgorsza, najbardziej zdumiewająca.

Wyrwał ją z tych rozmyślań Prymus, dolewając sobie wina i unosząc swój kielich.

– Być może lepiej rozumiesz teraz, co przeżywałem, kiedy Prometeusz zwrócił swe uczucia ku komuś innemu – rzucił z wymuszonym uśmiechem, przypominając jej o pięknym katarakcie, który od niego uciekł. – Czyżbyś zapomniała? Upajał się słowami Hadassy, aż w końcu skradła mi jego serce.

Oczy Julii rzucały błyskawice.

– Kalaba może robić, co się jej podoba – oświadczyła, udając obojętność, ale głos się jej łamał. – Tak samo jak ja. – Chciała zranić Prymusa, gdyż przypomniał jej o Hadassie. Samo imię niewolnicy niby przekleństwo budziło w Julii niezrozumiałe poczucie samotności i trwogi. – Zresztą, Prymusie, uczucia Kalaby nie da się porównać z uczuciem Prometeusza. On nie związał się z tobą z własnej woli, nieprawdaż? Musiałeś kupić go w jednym z tych kramów pod amfiteatrem. – Widząc, że jej słowa wywarły oczekiwane wrażenie, uśmiechnęła się i wrzuciła ramionami. – Ja zaś nie mam się czym martwić. Safira to tylko chwilowa zabawka. Kalaba szybko się nią zmęczy.

– Podobnie jak zmęczyła się tobą?

Julia uniosła gwałtownie głowę i zobaczyła tryumfalny błysk w jego oczach. Poczwała wzbierającą wściekłość, ale stłumiła ją i starała się mówić spokojnym głosem.

– Na wiele się ważysz, jeśli pomyśleć o tym, jak niepewna jest twoja pozycja wśród moich domowników.

– O czym ty mówisz?

– Mój ojciec nie żyje. Brat zrzekł się wszelkich praw do mnie i mojego majątku. Niepotrzebny mi już jesteś jako mąż, prawda? To, co moje, pozostanie moje z tobą... – uśmiechnęła się chłodno – albo bez ciebie.

Zamrugał, gdyż zrozumiał groźbę ukrytą w jej słowach, i zmienił zachowanie równie szybko, jak kameleon zmienia ubarwienie.

– Zawsze niewłaściwie mnie rozumiesz, Julio. Twoje uczucia są dla mnie najważniejsze. Chciałem tylko powiedzieć, że właśnie ja potrafię doskonale zrozumieć, co przeżywasz. Potrafię się w to wczuć. Czyż nie wiem, czym jest cierpienie? A kto pocieszał cię, kiedy odszedł Atretes? Ja. Kto ostrzegł cię, że niewolnica wkrada się w serce twojego brata i sączy w jego umysł jad nienawiści do ciebie, podobnie jak uczyniła to w przypadku Prometeusza?

Julia odwróciła głowę, nie chcąc wspominać przeszłości, przeklinając Prymusa, który o niej przypomniiał.

– Troszczę się o ciebie – ciągnął Prymus. – Jestem twoim jedynym prawdziwym przyjacielem.

„Ładny przyjaciel!” – pomyślała z goryczą. Jedynym powodem zmuszającym Prymusa do pozostawania u jej boku było to, że płaciła za willę, za jego stroje i klejnoty, za obfite i drogie jedzenie, które tak kochał, i za cielesne rozkosze, których był tak spragniony. Nie miał żadnych własnych pieniędzy. Te skromne dochody, jakie uzyskiwał, zawdzięczał patronom, którzy bali się, że mógłby ostrzyć na nich język albo rozgłosić ich tajemnice. Jednak i to źródło wysychało coraz bardziej, gdyż miał coraz liczniejsze zastępy wrogów. Był więc teraz całkowicie uzależniony od jej finansowego wsparcia. Na początku ich małżeństwu sprzyjało to, że nawzajem siebie potrzebowali.

On potrzebował pieniędzy; ona żyła u jego boku, żeby odzyskać kontrolę nad swoimi pieniędzmi.

Tak w każdym razie było.

Teraz nikogo już nie obchodziło, co Julia robi ze swoimi pieniędzmi. Ani co robi ze swoim życiem.

Zajrzała mu w oczy i zobaczyła, że Prymus się boi. Wiedziała, że udaje troskę o nią, by chronić siebie, ale rozpaczliwie potrzebowała kogoś, komu by na niej zależało.

– Wierzę ci, Prymusie.

– Idźże więc do haruspika, niech powie, co jest przyczyną gorączki i napadów osłabienia.

W ten sposób doszło do tego, że stała teraz w mrocznej, oświetlonej pochodniami świątyni i przyglądała się ponurym obrządkom. Haruspik zerknął w teksty i na tablice, a następnie poderżnął gardło lichej kózki. Kiedy koza zabeczła chrapliwie z przerażenia, Julia odwróciła twarz, ale i tak zachwiała się i musiała zebrać wszystkie siły, by nie zemdleć. Drugim wprawnym ruchem kapłan otworzył brzuch zwierzęcia i wydobył wątrobę. Sługa świątynny zabrał martwą kozę, a kapłan z wielkim szacunkiem złożył ociekający krwią organ na złotej tacy. Naciskał wątrobę tłustymi palcami, oglądał ją na wszystkie strony, przekonany, że odpowiedź na pytanie, jaka choroba dręczy Julię, znajdzie na gładkiej, ciemnej powierzchni.

Potem wyjawiał diagnozę i odprawił Julię. Na dobrą sprawę nadal nie wiedziała, co jej dolega, gdyż jego niejasne słowa kryły tysięczne możliwości i właściwie niewiele miał jej do powiedzenia. Równie dobrze mógłby oznajmić: „Bogowie milczą” i na tym zakończyć. Rozejrzała się i zobaczyła jeszcze innych, ważniejszych oczekujących – urzędników publicznych, którzy martwili się, że zachorują albo przyjdzie jakaś klęska żywiołowa. Zrozumiała, w czym tkwi sedno. Co może obchodzić kogoś los samotnej i przestraszonej młodej kobiety? Ważne były tylko złote monety, którymi zapłaciła za koźle.

– Może pomogłaby ofiara błagalna – podsunął młody kapłan, wyprowadzając ją ze świątyni.

„Jakiemu bogu miałabym ją złożyć?” – myślała z rozpaczą. Skąd ma wiedzieć, który z bogów panteonu zechce się za nią

wstawić? I do kogo by się zwrócić? A jeżeli obraziła jednego z licznych bogów, skąd ma wiedzieć, którego powinna przebłagać swoją ofiarą? I jaka ofiara będzie wystarczająca?

Od zastanawiania się nad wszystkimi tymi możliwościami rozboleła ją głowa.

– Wszystko będzie dobrze, pani – powiedziała Eudemas i ta pociecha podrażniła i tak już roztrzęsioną Julię.

Julia doskonale zdawała sobie sprawę, że we współczuciu Eudemas nie ma ani krzty szczerości. Niewolnica udawała, że ją to obchodzi, bo jej życie zależało od kaprysu pani. Julia mogła podziękować Prometeuszowi za to, jak odnoszą się do niej niewolnicy. Zanim uciekł, opowiedział wszystkim, że to ona wysłała Hadassę na arenę.

Łzy zaczęły szczytać ją pod powiekami, kiedy odwracała wzrok od dziewczyny. Powinna była sprzedać wszystkich niewolników domowych i kupić sobie innych, sprowadzonych okrętem z najdalszych krańców cesarstwa. Postąpiła niemądrze, sprzedając tylko kilkoro, zapominając, że ci nowi dowiedzą się wszystkiego od pozostałych. Po kilku dniach Julia czuła wokół siebie ich strach niby jakąś namacalną siłę. Nikt nie śmiał spojrzeć jej w oczy. Kłaniali się, znikali i skwapliwie wykonywali wszystkie rozkazy, ale Julia ich nienawdziła.

Czasem mimowolnie przypominała sobie, jak to było, kiedy usługiwano jej z miłością. Przypominała sobie, jak bezpiecznie się czuła, mogąc bez zastrzeżeń zaufać innej ludzkiej istocie i wiedząc, że ten ktoś pozostaje jej oddany nawet, gdy staje w obliczu śmierci. W takich momentach czuła się jeszcze bardziej samotna, jeszcze bardziej osłabiona wskutek rozpaczy.

Kalaba powiedziała, że strach przed panem jest dla niewolnika czymś zdrowym. „Człowiek mądry w sprawach życia musi nauczyć się podtrzymywania strachu. Nic nie daje większej władzy i przewagi nad innymi. Tylko mając władzę można być naprawdę wolnym.”

Julia wiedziała, że ma nad innymi władzę życia i śmierci, ale nie dawało jej to już poczucia przewagi ani bezpieczeństwa. Nienawdziła przecież ojca, który nadzorował jej życie. Z tego samego powodu nienawdziła Klaudiusza, a potem Kajusza. A kiedy